Tom XV. Nr. 12.

21. października 1866.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Urszulka Kochanowska.

Któż z nas chrześcian, któż z rodaków naszych nie zna prześlicznego psalmu: „Kto się w opiekę poda Panu swemu“, któż go nie spiewał przy processji i w domu. Psalm ten znany z cudownych swoich skutków, każdemu kto go szczerze a z głębi serca i duszy odmawia, wielką jest pomocą u Wszechmocnego Stwórcy, a odmawiają go nietylko chrześcijanie katolicy, ale protestanci czyli wyznawcy nauki Lutra i Kalwina, odmawiają go wyznawcy religji Mojżeszowej. Znajduje się psalm ten w piśmie świętem, boć go napisał król izraelicki Dawid prorok i śpiewak Boży w języku hebrajskim.

Z mowy hebrajskiej wytłumaczyli psalm ten pobożni chrześcijanie na mowę grecką i łacińską. Któż go wytłumaczył na polskie i w piękne wiersze przybrał? — Oto rodak nasz Jan Kochanowski, żyjący przed trzemaset laty za królów Zygmunta I, Zygmunta Augusta, Henryka Walezjusza i Stefana Batorego. O nim wam też chcę dzisiaj dać wiadomość.

Urodził się Jan Kochanowski w 1530, umarł zaś 1584 r. Ojciec jego widząc wielką chęć do nauki w synie, wysłał Jana

do Włoch, kędy wówczas najbardziej kwitnęły nauki, tam w mieście Padwie wydoskonalił się młody Kochanowski w różnych umiejętnościach przez kilka lat przebywając, poczem uczył się także we Francji w mieście Paryżu, nakoniec powrócił do ojczyzny, gdzie już znano go z wierszy pięknych, jakie z zagranicy dosyłał.

Z początku Jan Kochanowski przybywszy do Krakowa, zasmakował sobie w życiu przy dworze królewskim, i nic dziwnego, boć go i król Zygmunt August i panowie bardzo lubili, a ku sobie przyciągali. Wiersze Jana Kochanowskiego u wszystkich upodobanie znajdowały, a to z dwóch przyczyn: raz że były bardzo piękne, a powtóre że były polskie, bo aż do tego czasu w Polsce prawie wszyscy pisywali po łacinie, po polsku zaś ledwie nieco przed nim pisać zaczął Mikołaj Rej z Nagłowic, Kochanowski zaś pierwszy zaczął w rodzinnej mowie wiersze układać.

Wesoło schodziło życie Janowi przy dworze królewskim, panowie możni chcąc mu nastręczyć utrzymanie, aby się nie frasował o wydatki na życie a mógł sobie pisywać swobodnie swoje wiersze, wystarali się dla niego o dochody, ale w końcu uprzykrzyło się Kochanowskiemu dworskie życie i wyniósł się do wsi Czarnolesia, kędy ożenił się z Anną Podlodowską niewiastą cnotliwą i piękną.

Osiadłszy w Czarnolesiu, Kochanowski to trudnił się gospodarstwem, to pisaniem wierszy naprzemian, i żył bardzo szczęśliwy z żoną i dziateczkami, któremi ich Pan Bóg obdarzył.

Chociaż mała wioska nie przynosiła mu znacznych dochodów, a dziatek wciąż przybywało, przecież Kochanowski nie łaknął bogactw, a gdy mu przyjaciele przy dworze królewskim bawiący wystarali się u króla o urząd Kasztelana Połanieckiego, aby fortunę jego pomnożyć, Kochanowski urzędu tego przyjąć nie chciał, mówiąc: „Bóg zapłać, ale ja nie chcę wpuszczać do mego ubogiego domku pysznego kasztelana, bo onby to wnet zmarnował, co Kochanowski zebrał“, napisał też z tej okazji wiersz wychwalający tych co nie żądają wiele, a który zaczyna się tak:

Kto ma swego chleba,
Ile człeku trzeba,
Może niedbać o wielkie dochody,
O wsi, o miasta, o wysokie grody,
Ten pan zdaniem mojem,
Kto przestał na swojem.

Wszystkie dziateczki Kochanowskiego były milutkie, cnotliwe i pobożne, ale z pomiędzy sześciu córek, nad wszystkie najmilszą ojcu była Urszulka. Niedość że śliczniutka jak aniołeczek, ale przytem taka mądra że jak na dziwowisko zjeżdżali się znajomi i nieznajomi do domu Jana Kochanowskiego, ażeby się przypatrzeć tej cudownej dziecinie.

Powiedźcież sami moi mili, czy też nie słusznie nazywam maleńką Urszulkę cudowną dzieciną, toż ona nie miała jeszcze trzech lat skończonych, a już składała wyrazy do wierszu, słysząc jako ojciec rymuje, a były to wierszyki takie ładne żeby się ich i stary nie powstydził Niedość na tem, Urszulka była grzeczną, miłą, usłużną, ucieszną tak że wszyscy w domu kochali ją gdyby aniołeczka, a cóż dopiero ojciec, temu mało serce z piersi nie wyskoczyło, ile razy z rana ujrzał swą drogą dziecinę, ile razy mu wdzięcznym głosikiem zaszczebiotała.

Jan Kochanowski w ogrodzie swoim miał ogromną lipę, pod którą zwykle siadywał, pod którą wypoczywał po pracy gospodarskiej i gdzie wiersze swoje układał. Tutaj to skoro gość jaki przybył go nawiedzić, przyjmował go dzbanem piwa domowego i gawędził z nim o tem, co się w kraju dzieje, dowiadywał się nowin o królu i o znajomych panach i dostojnikach dworu, miejsce to było mu najulubieńsze, tu też najbardziej rad przesiadywał ze swoją najmilszą Urszulką i słuchał jej lubego gwarzenia. Skoro pani Kochanowska chciała widzieć się z mężem, a nie było go w komnacie, to biegła pod lipę i zastawała swego przyjaciela zadumanego nad księgami lub piszącego wiersze.

Otoż jednego dnia siedział pod ulubioną lipą jak zwykle zadumany, i rozmyślał o przybyciu brata swojej żony Jakóba Podlodowskiego, kiedy nagle przybiega Urszulka i rzecze: „Cze-

goż tu tak siedzicie ojcze, pójdźcie ze mną na łąkę, narwiemy kwiatków dla naszego gościa.“

— Alboż ty wiesz moja miła szczebiotko, kto tu do nas przyjedzie? zapyta ojciec.

— O wiem! zawołała Urszulka i nie myśląc długo zaśpiewała:

Przyjedzie tu rycerz,
Ojcu, matce drogi,
A ja te kwiateczki,
Rzucę mu pod nogi.

Urszulka sama ułożyła tę piosnkę na prędce, a ojciec tem uradowany, rzecze: o mój ty drogi słowiczku, pójdźże do matki i powtórz jej te wierszyki, a Urszulka na to:

— Jużem je zapomniała, ale tu ich mam daleko więcej i ładniejszych wierszyków! — i pokazała palcem na główkę.

Wkrótce przyjechał oczekiwany pan Jakób, a Urszulka witając go układała różne wierszyki, tak że zdumiony tym dziwnym darem ośmioletniego dziecka, zawołał: Niechże Bóg Wszechmocny opiekuje się tą drogą dzieciną, a strzeże ją od wszystkiego złego, boć to prawdziwie rzecz niezwykła tyle rozumu w tak młodziuchnych leciech.

Wkrótce potem znakomity gość miał nawiedzić Czarnolas. Był to hetman Jan Zamojski, wielki przyjaciel a wielbiciel Jana Kochanowskiego. Można sobie wystawić, jakie to przygotowania były na przyjęcie tak dostojnej osoby. Kochanowski wydobywał z piwnicy najstarsze wina i miody, pani Kochanowska pilnowała oczyszczenia domu, okurzania sprzętów, przeglądała spiżarnie, aby niczego nie brakło na przyjazd hetmana, to znów wybierała szaty dla męża, siebie i córek. Wszystkie dziewczęta dopomagały matce w tej mozolnej pracy, jedna tylko Urszulka skakała jak ptaszek, z kąta w kącik, przypatrując się robocie matki i starszych sióstr.

— Urszulko! Urszulko! zawoła matka, biegasz tylko ciągle z miejsca na miejsce, a nie myślisz jak my wszyscy o przyjeździe pana hetmana.

— O myślę, myślę, miła matko! — rzecze Urszulka.

— Gdybyś myślała, tobyś się przecie czemś zajęła, żeby go przyjąć uczciwie jak my wszyscy nad tem się kłopotamy.

— Każdy go przyjmie jak może, a Urszulce też Pan Bóg pomoże, żeby rodziców nie zawstydziła — odpowie dziecina.

— O bo ty nie wiesz Urszulko jaki to pan dostojny i możny, mówiła dalej matka, ile on to ma pałaców i zamków prześlicznych w całym kraju, a jaki bogaty, niema u nas takiego drugiego, żeby miał tyle dostatków co pan hetman, wielki koronny — trzeba go kochać moja dzieweczko.

— Cóż tam że bogaty, ale czy on Pana Boga kocha nadewszystko, a bliźniego jako siebie samego? — zapyta Urszulka.

— Jakżeby nie, moje dziecko, przecież to katolik jak my wszyscy.

— A czy pan hetman ubogich kocha i daje im jałmużnę?

— Wielkim jest dobrodziejem dla biednych — odpowie matka.

— No to i Urszulka będzie go kochać — zawoła dziecina, a potem pomyślawszy jeszcze przez chwilkę, zapytała:

— A dzieci czy pan hetman kocha?

— Oj kocha, kocha moja dzieweczko, ale się bardzo trapi, bo mu Pan Bóg nie dał dzieciny.

— O to Urszulka jeszcze go bardziej będziej kochała, kiedy taki biedny że dzieci niema.

I odeszła w ogród a zadumała się bardzo dzieweczka nad tem że są ludzie tacy nieszczęśliwi, że dzieci nie mają, coby ich kochały.

W kilka dni potem pan hetman przybył wreszcie do Czarnolesia. Wszystko co żyło wybiegło naprzeciw niemu, Jan Kochanowski skłoniwszy się swemu możnemu przyjacielowi, wprowadził go do domu prezentując żonę i dziatwę.

Hetman powitał panią Kochanowskę, uśmiechał się i przemawiał do córek; ale wzrok jego zatrzymał się na Urszulce, a oczy nie mógł odwrócić od tego prześlicznego aniołka.

Urszulka miała na sobie bielutką jak śnieg sukienkę, przepasaną w pasie niebieską szarfą, i jasne włoski rozpuszczone w kędziorach około główki, które jej spadały na plecy i ramiona, podobnie jak widujemy na pięknych obrazach malowanych aniołów bożych.

Pan hetman siadłszy w obszernem krześle z poręczami, wziął Urszulkę na kolana, pieścił ją i całował, a ona z dzie-

cinną ciekawością oglądała jego ubiór wspaniały, dotykała rączkami dyamentowych guzów, i przypatrywała się złocistym pierścieniom.

— Czy ci się podobają Urszulko moje suknie i sygnety? zapytał hetman.

A Urszulka bez namysłu odpowiada mu wierszami.

Pięknie, cudnie i bogato,
Jak u nikogo na świecie,
Ale gdybyć Bóg dał dziecię,
Dałbyś wszystko za to.

Państwo Kochanowscy zmięszali się słowami Urszulki, bojąc się obrazy gościa, a hetman zdziwiony tem niespodzianem odgadnięciem jego najskrytszych myśli spojrzał na nich dziwnie, jakoby podejrzywając iż namówili dziecinę, a ojciec wiersze ułożył, potem zwróciwszy się do Urszulki zapytał:

— Któż to cię miła Urszulko takich wierszyków nauczył? A dziecko na to: Któżby mię uczył, ja sama tak ze siebie zawsze mówię wierszyki.

— To ja nie będę szukał sobie innych dzieci, powiada hetman, tylko sobie wezmę Urszulkę — ojcu podaruję szaty i sygnety, które ci się tak bardzo podobają, a ciebie wezmę do Krakowa.

A Urszulka spojrzawszy na hetmana rzecze:

Nie — ja dziewczyna,
Tobie trzeba syna,
Mnie weźmie ktoś inny
Aniołek niewinny,
Ja poproszę Boskiej Matki,
Dla ciebie o zdrowe dziatki.

Nikt nie potrafi opisać zdumienia hetmana — łzy zakręciły się w jego oczach. Pieścił i całował Urszulkę, a ona mu coraz więcej i coraz piękniejszych wierszyków mówiła — Kochanowski nie posiadał się z rozkoszy, tylko matka spoglądała z niespokojnością na dzieweczkę, bo ją zatrwożyła przepowiednia w wierszykach przez Urszulkę powiedzianych.

Nad wieczorem pan hetman odjechał pożegnawszy Kochanowskiego i ich kochaną Urszulkę. Dzieci pokładły się spać,

rodzice zaś jeszcze przez jakiś czas o swoim gościu rozmawiali — nakoniec pan Jan odszedł do swojej komnaty, lecz zaledwie ułożył się do snu, kiedy nagle wbiegła pani Kochanowska, blada od trwogi i przerażenia i rzecze: Jasiu przez miłość boską, pójdź co prędzej — Urszulka widno chora, całe ciałko, a szczególniej główkę ma rozpaloną jak węgiel!

Kochanowski zerwał się z posłania, przestrach, a może przeczucie ścisnęło mu serce, w jednej chwili był już przy łóżeczku swojej najmilszej Urszulki, i ze strapieniem poznał, że sroga gorączka ogarnęła dziecinę.

Wnet chwycono się rozmaitych sposobów, lodem obłożono główeczkę, gorczycą z octem nóżki, ale gorączka nietylko nie ustawała, lecz wciąż rosła. Kochanowski ani na mgnienie oka nie opuścił pościołki swojej drogiej dzieweczki, patrzył w nią jak w tęczę i drżał od strachu, dzieweczka w gorączce wciąż mówiła to do swoich sióstr, choć ich tam nie było, to do matki i ojca, to znowu jakby rozmawiała z kimś niby z aniołkami, to układała wiersze. Tak w gorączce ubiegły dwa dni bolesne. Nareszcie trzeciego dnia nad wieczorem wróciła do przytomności, a widząc matkę płaczącą zawołała:

Nie płacz matko proszę,
Ja idę do nieba,
Na czyste rozkosze,
Mnie zazdrościć trzeba.
Twoja miła córka,
Oblecze się w piórka,
Z aniołkami siędzie,
Matko źleż ci będzie,
Mieć swego aniołka?

Rodzice słysząc te słowa ukochanej dzieciny wybuchnęli głośnym płaczem, a dzieweczka prosiła aby przyszły siostrzyczki i wszyscy służący i z każdym się żegnała. Widząc płacz rodziców, przyciągnęła oboje za ręce i całując je mówiła: „Już ja wam moi najmilsi służyć nie będę, już nie zasiędę mojego miejsca za stołem, muszę jechać w ciemną i nieznaną krainę, muszę pożegnać wasz dom na zawsze.“ Po chwili przytomności Urszulka wpadła znowu w gorączkę, i tak biedna dziecina mę-

czyła się jeszcze przez całą noc, nakoniec nad ranem zawołała mocnym głosem: Jezus! Marja! Józef! i czysta jej duszyczka uleciała do nieba.

Któż opisze boleść całej rodziny, boleść matki, straszne cierpienia ojca! Wciąż tylko chodził z zwieszoną głową i powtarzał: Niemasz cię Urszulo moja! Ukochana jego dzieweczka opuściła miły dwór Czarnolasu; już Kochanowskiego nie cieszyły ani pola i łąki, ani jego ulubiona lipa. Nie pisał już owych wdzięcznych wierszy, wzniosłych nie tłumaczył psalmów, ani pięknych nie układał piosenek. Pióro jego zlewało na papier smutne, a pełne bolu wyrazy — opisujące nieszczęścia pognębionego ojca. Czytając te wiersze, trudno wstrzymać się od płaczu, zwłaszcza też rodzicom, którzy potracili dzieci. Wybrałem tu małą ich cząstkę, z tych wierszy zwanych Trenami, ażeby wam bracia mili dać choćby nieco poznać żal i rozpacz Jana Kochanowskiego:

Moja wdzięczna Urszulo, bodajś ty mnie była
Albo nie umierała, lub się nie rodziła!
Małe pociechy płacę wielkim żalem swoim,
Za tem nieodpowiedniem pożegnaniem twojem.
Omyliłaś mnie jako nocny sen znikomy,
Który wielkością złota cieszy zmysł łakomy,
Potem nagle uciecze, a temu na jawie:
Z onych skarbów jeno chęć, a żądzę zostawi.
Takeś ty mnie Urszulo droga uczyniła,
Wielkieś nadzieje w sercu mojem roznieciła,
Potemeś mnie smutnego nagle odbieżała,
I wszystkie moje z sobą pociechy zabrała,
Wzięłaś mi, zgoła mówiąc duszy połowicę,
Ostatek przy mnie został na wielką tęsknicę!
Tu mi kamień murarze ciosany połóżcie,
A na nim tę nieszczęsną pamiątkę wydrążcie:
„Urszula Kochanowska tu leży, kochanie
Ojcowe, albo raczej płacz i narzekanie,
Opakeś to niebaczna śmierci udziałała,
Nie jać onej, ale mnie ona płakać miała!“

Poległy żołnierz.

Tam na dalekiej, obcej równinie,
Nieszczęsny żołnierz na rozkaz ginie,
Walczył odważnie, nikt nie wie o tem,
Pamięć trza kupić stopniem lub złotem.

O innych żale, płacze i jęki,
Nikt na żołnierza nie pomni męki,
Nikt nie pamiętał, że biedak służył,
Imienia jego nikt nie powtórzył.

Lecz tam daleko pod jego strzechą
Gdzie był rodziców starych pociechą,
Tam siwy ojciec duma głęboko,
I łzą mu stare zachodzi oko!

„O mnie przeczucie pewno nie zwodzi,
Ach! jak czerwono słońce zachodzi,
Jaś mój nie wróci, biada mej głowie!"
A matka płacze i z łzami powie:

„Biedneż me serce, smutek padł na nie;
Wieczne jedynak mój ma posłanie,
Gdzieś życie oddał z śmiertelnej rany,
Już cię nie ujrzę Janku kochany!"

Jasia kochanka o czarnem oku,
Smutno się patrzy w nocy po mroku,
I mówi sobie: „Jeśliś ty w niebie,
To moje serce żyje dla ciebie!"

Płaczą kochanki, matki źrenice,
Jako miłości pełne krynice,
Widzi to chmurka płynąc po niebie,
Wszystkie ich łezki pochłania w siebie.

Płynie po niebie szybkością strzały,
Gdzie nieprzyjaciół kule padały,
Chyla się, skłania na trupów stosy
Spuszcza te łezki w kropelkach rosy....

Gdzie głowa Jasia i martwe skronie,
Tam rosę spuszcza, roztacza wonie,
Aby nie leżał w cudzej krainie,
Niecopłakany w pustej równinie! **J. S.**

Łukaszek z pod Szydłowca.

Niema droższego skarbu na świecie nad zdrowie, a przecież ludzie o nic prawie tak mało niej dbają, jak właśnie o zdrowie. Dobrze to powiedział nasz sławny wierszopis polski Kochanowski: „Szlachetne zdrowie, nikt się nie dowie, jako smakujesz, aż się popsujesz!“ A gdy się nawet już popsuje, to i wtedy jeszcze ludzie nie mają o niem takiego starania, jakby to należało. I tak, aby odrazu przyjść do rzeczy, dzieje się to bardzo często między ludźmi, a już to najczęściej między wami, włościanie, że chorzy powierzają się łatwowiernie jakimś oszustom i babom, zamiast przywołać zaraz uczonego lekarza. Jak tylko kto z was zachoruje, to zrazu nie leczy się wcale, ale zaniedbuje chorobę, a gdy już widzi że źle bardzo i że śmierć zagląda w oczy, to posełą gdzieś po jakiegoś cerulika, albo co jeszcze gorzej, po jakiego nieuczonego owczarza lub po babę a oni leczą go jakiemiś głupiemi gusłami, zabobonami i Bóg wie czem jeszcze, i oczywiście zamiast pomódz choremu, dobijają go jeszcze. W każdej wsi jest taka mądra baba co ludzi oszukuje, a swemi lekarstwami zdrowych w chorobę zapędza a chorych o śmierć przyprawia.

Tacy ludzie, co korzystają z łatwowierności drugich i biorą się do kuracji, choć są ciemni w tem jak tabaka w rogu, są prostymi oszustami, i prawo też za takich ich uważa, bo surowe na nich stanowi kary. Ale oprócz prawa karze ich jeszcze tu na ziemi Bóg sprawiedliwy, bo zdrowie jest darem Bożym, a kto niweczy i psuje Boże dary, wart kary doczesnej i wiecznej. Opowiem wam tu prawdziwą historję o jednym takim owczarzu, co ludzi kurował, choć się na tem nie znał. Owczarz ten zwał się Łukasz, a wszyscy zwali go po prostu Łukaszkiem z pod Szydłowca, bo mieszkał pod miastem Szydłowcem, które leży w Polsce pod panowaniem moskiewskiem.

Łukaszek był zrazu owczarzem u jednego pana, co się zwał Kietliński. Niewiernie on panu swemu służył. upijał się a nawet tak daleko w swej złości się posunął, że gdy raz pan skarcił go za jakieś nieposłuszeństwo, to on z zemsty połowę owiec pańskich wytruł. Za to dostał się Łukaszek do krymi-

nału, a gdy go ztamtąd wypuścili, wziął się na łatwy sposób zarobku, bo mu się pracować nie chciało. Wziął się tedy do leczenia chorych i począł rozgłaszać, że on wszystkie choroby duchem potrafi wyleczyć Pozmawiał się z karczmarzami, a kto tylko przejeżdżał, to oni zaraz zachwalali mu Łukaszka, kłamali cuda o jego kuracjach — a że łatwowiernych dużo jest na świecie, a głupich zawsze więcej jak mądrych, więc kto był chory, to szedł do Łukaszka po radę. A Łukaszek tymczasem był sobie chłop jak każdy inny, a nawet i pośledniejszy, bo dziś już prawie co trzeci wieśniak czytać umie, a Łukaszek ani czytać ani pisać nie umiał.

Za to miał Łukaszek wielki spryt i przebiegłość i umiał tumanić ludzi. Ci karczmarze, z którymi się zmówił i których opłacał, wypytywali zawsze naprzód chorych, którzy szli do Łukaszka, co mu brakuje? co go boli? od jak dawna już słaby? — a potem cichaczem dawali o tem znać Łukaszkowi, tak że jak chory jeno pokazał się przed Łukaszkiem, to on mu już zaraz bez pytania powiedział, co mu dolega. Głupi ludzie dziwili się, zkąd to Łukaszek wszystko wie tak dobrze, i tem więcej mu ufali, myśląc, że on ma na prawdę cudowną władzę odgadywania i leczenia wszystkich chorób.

Tak tedy tumaniąc ludzi zbierał Łukaszek grosz do grosza, aż nareszcie kupił sobie folwarek. Niebawem też rozgłosiło się jego imię po dalekich okolicach, bo każdy z was wie, jak to pogłoski sięgają daleko, — i do Łukaszka poczęli się cisnąć chorzy, już nietylko z prostego stanu, ale i panowie. Łukaszek na to jak na lato, radził chorym, przedawał im drogo rozmaite zioła i trawy i zbierał tak grosz ogromny. Nareszcie przyszedł on do takiej wielkiej sławy, że z całej Polski zjeżdżali się do niego ludzie, bogaci i ubodzy i płacili mu setnie za lekarskie rady.

I do tego wreszcie przyszło, że jak Łukaszek wybrał się do samej stolicy do Warszawy i tam stanął w najpierwszym zajeździe, to niezliczona ilość chorych pchała się do niego, tak że jakby do cesarza trudno się było dopchać do niego, a przed domem to kilkanaście pańskich powozów stało każdego czasu. Wtedy to Łukaszek za jeden tydzień zarobił w Warszawie

dziesięć tysięcy złotych, tyle co niejeden doktor za cały rok nie zarobi. Łukaszek wtedy zadarł nosa do góry, kupił sobie kilka domów w Szydłowcu, ba potem wieś całą a tak zhardział, że już kazał po siebie karetę przysełać, i bywało wiozą go jak hrabiego czterma końmi do jakiego chorego pana. Za jedne odwiedziny płacili mu nieraz panowie po kilka tysięcy, a jeden jenerał, co daleko mieszkał, dawał mu dziesięć tysięcy rubli, co tyle znaczy co 15 tysięcy reńskich, aby przyjechał do niego. I tak Łukaszek przez swoją przebiegłość wyszedł z prostego owczarza na wielkiego pana.

Powiecie mi może, że ten Łukaszek przecie musiał być na prawdę cudownym lekarzem, kiedy go tak rozchwytywano na wszystkie strony i kiedy do takiej wielkiej sławy i do takiego wielkiego przyszedł majątku. A ja wam na to odpowiem, że z tego jeszcze nie wynika, aby Łukaszek nie był tylko sprytnym oszustem, tylko to wynika, że dużo jest łatwowiernych i głupich ludzi na świecie! Zresztą ja wam to wytłumaczę, jakim to sposobem stać się mogło, że Łukaszek zrobił takie szczęście, choć się na leczeniu nie znał i choć był człowiek bez żadnej nauki i oświaty.

Oto musicie najprzód zważyć, że każdy, kto zasięgał rady u Łukaszka, to mu zaraz z góry płacił, choć nie wiedział, czy mu pomoże, czy nie, więc Łukaszek mógł zebrać pieniądze, choćby nikomu nie pomógł. Dalej trzeba zważyć, że często są takie choroby, które i bez lekarza same ustają, jak więc taki chory był po radę u Łukaszka a potem wyzdrowiał, to myślał, że to mu Łukaszek zdrowie wrócił, a to tymczasem sama natura mu pomogła. A każdy taki co przyszedł do zdrowia, głosił zaraz sławę Łukaszka i dlatego też owczarz ten był tak wzięty. Dalej musicie wiedzieć, że i najświatlejsi ludzie nieraz, gdy ich Bóg nawiedzi ciężką chorobą, z której żaden lekarz nie może wyleczyć, probują wszystkich ratunków możliwych, bo jak mówi przysłowie, tonący brzytwy się chwyta. Każdy chory, co go już lekarze opuścili, szedł więc jeszcze do Łukaszka wyraźnie z rozpaczy, myśląc, a nuż on mię przypadkiem jeszcze od śmierci uratuje.

Przez to wszystko i przez swoją sprytność przyszedł Łukaszek do takiej ogromnej chwały i majątku. Był teraz pan całą gębą, a jak dawniej pił gorzałkę, tak teraz zalewał się takiem zamorskiem winem, co go kwarta dukata kosztuje. Ale przyszła kara i na niego i to bardzo bolesna i dotkliwa. Łukaszek miał córkę jedynaczkę, którą bardzo kochał. Tę córkę swoją chciał Łukaszek wykierować na wielką panię, bo mu też i stać było na to. Oddał ją tedy do szkoły panieńskiej w Kielcach i wychowywał ją po pańsku. Ale oto jednego razu, córka ta przyjechawszy odwidzić ojca, nagle śmiertelnie zachorowała.

Teraz przyszła pora dla Łukaszka, aby dowiódł na swojej córce, że jest cudownym lekarzem i że niema choroby, z którejby nie potrafił wyleczyć. Ale Łukaszek taki był doktor, jak każdy inny wieśniak, i gdy przyszło ratować córkę, stał nieporadny i w rozpaczy. Toć córki, swego jedynego dziecięcia nie mógł tumanić tak, jak tumanił cudzych chorych, nie mógł jej dawać tego przeróżnego zielska, którem za drogie pieniądze raczył obcych chorych.

Cóż miał Łukaszek robić? Nic innego oczywiście, tylko powinien był posłać zaraz po prawdziwego, uczonego lekarza, ale oto patrzcie, sam związał sobie ręce. Jakże tu posłać po lekarza, kiedy on sam głosił się za cudownego doktora, a o innych uczonych doktorach mawiał, że na niczem się nie znają. Toć mu ludzie powiedzą: kiedyś taki mądry, kiedyś drugich chorych chciał leczyć, czemuż własnego jedynego dziecka od śmierci nie uratujesz, jeno posełasz po doktora?

Tak stał Łukaszek z boleścią i rozpaczą w sercu nad chorą jedynaczką. Gdyby był zrzucił pychę z serca i posłał po lekarza, byłby spełnił obowiązek ludzki i ojcowski — ale on się wstydził i wahał, a przez to wpadła córka w jeszcze straszniejszą chorobę. Nareszcie miłość ojcowska przemogła, posłał po lekarza. Niestety! było już za późno — lekarz już nic nie mógł pomódz, mówił tylko, że gdyby posłano wcześniej po niego, byłoby dziecko przyszło do zdrowia.

Wystawcie sobie teraz smutek i boleść Łukaszka! Nie byłaż ta dotkliwa kara za to, że drugich ludzi chorych łudził!

Co się dalej stało z Łukaszkiem, nie mogę wam dokładnie opowiedzieć. Tyle tylko wiem, że sława jego wkrótce ustała. Ludzie się przekonali, że to wszystko było tylko złudą i Łukaszek jak dawniej był sławny, tak teraz poszedł całkowicie w niepamięć. Umarł lat kilkanaście temu a majątek rozszedł się po jego śmierci rychło, tak jak był zebrany.

Taka jest historja o Łukaszku z pod Szydłowca.

Na zakończenie zaś zrobię jeszcze jedną uwagę dla tych co zdrowie swe powierzają lada komu a o uczonych lekarzach ani wiedzieć nie chcą. Czy też oni wiedzą, co to jest lekarz prawdziwy? Toć lekarz prawdziwy, to jest doktor medycyny, co ma patent cesarski, musi się uczyć przez dwadzieścia lat po rozmaitych szkołach lekarskich, musi znać każdą kosteczkę, każdą błonkę, każdą żyłeczkę w ciele człowieczem, musi wiedzieć o każdej chorobie, jak ona powstaje w ciele, co ona tam za zmiany we środku i na wierzchu wywołuje, jak się rozwija, musi znać każde ziółko na Bożym świecie, któremu Opatrzność każe róść na uleczenie zdrowia ludzkiego. I nad takiego doktora mógłby być lepszym pierwszy lepszy owczarz, co czytać nie umie, miałaby być mędrszą lada baba stara, co głupie gusła wyprawia i w zabobony wierzy? Jeno sobie tak pomyślcie w zdrowym rozumie, czy to być może?...

Toż jak ty masz zegarek, a ten zegarek ci się popsuje, czy ty go sam naprawisz? Jużci że ani ty ani twój sąsiad go nie naprawi, jeno musisz iść do zegarmistrza, co zna, z czego się składa zegarek i jak w nim każde kółko, każdy gwoździk, każda sprężynka ma się poruszać. A ciało ludzkie to także tak jak zegarek, jeno że tysiąc razy sztuczniejszy, bo w nim tysiące żyłek, tysiące kosteczek składa się w całość i w życie.

Jeżeli masz pieniądze, czy ty je powierzysz jakiemu człowiekowi którego nie znasz, albo jeźli masz proces jaki, czy pójdziesz z nim do takiego, co ani czytać ani pisać nie umie? Nie! A zdrowie przecież droższe niż pieniądze, bo co ci po nich, jeźli zdrowia niema i umierać musisz! Dlaczegoż wy, kochani ludzie, tak mało cenicie ten skarb najdroższy? Przyznajcie sami, czy to mądrze tak robić?...

Wojtek ze Smolnicy.

Rady gospodarskie.

Siano ziemniaczane.

Pewien dobry i doświadczony gospodarz podaje sposób, jak sobie można zaradzić w braku siana. Oto radzi on tym, którym brakuje siana dla chudoby, aby robili siano z liści ziemniaków. — W końcu sierpnia i na początku września podczas pięknej pogody, zżyna się zieloną jeszcze nać ziemniaczaną i układa się ją na obranem w pobliżu dogodnem miejscu, w okrągłe kupy 10 stóp średnicy i 10 stóp wysokości mające, w ten sposób, aby podczas zaścielania nać jednocześnie czworo ludzi silnie ją udeptało. Jeśli się ta robota dobrze wykona i ciepłe jest powietrze, to się ta kupa we 22—24 godzin tak zagrzeje, że nać będzie jakby zgotowana, jasnobrunatnej barwy, woni podobnej do suszonych owoców, a mimo tego tkanina jej włóknista nic na swej mocy nie utraci. W takim stanie nać posiada najwyższą wartość pokarmową, na co też pilnie baczyć należy. Skoro już cała kupa została tak nadeptana, wtedy się ją rozrywa hakami i widłami, albo rękami starannie rozściela, raz albo dwa razy przewraca; a tak przy sprzyjającej pogodzie w ciągu 10—12 godzin ta rozparzona nać ziemniaczana wyschnie najzupełniej, nie utraciwszy swych liści. — Takiego dobrze przyrządzonego siana ziemniaczanego 12 funtów dziennie ugotowanych do zaparzenia karmy, a 12 funtów na sucho jako siano założonych, przy zwykłym dodatku słomy, wystarczą najzupełniej dla jednej krowy. Nietylko krowy i woły chciwie tę paszę zjadają, ale nią nawet konie i owce nie gardzą.

R.

RÓŻNOŚCI.

Otwarte serce. W głębi lasu był domek borowego. Wieczorem w późnej jesieni palił się w izbie ogień na kominku — borowa gotowała wieczerzę, a borowy z dziećmi przebierali mech przesuszony do obtykania okien od deszczu i zimna. Na dworze szumiały drzewa, wiatr gwizdał i zamkniętemi okiennicami łopotał.

— Cóż też to dzisiaj za wicher! odezwał się borowy. Chwała Bogu, że już jutro wszystkie szpary u okien pozatykamy, bo człowiek tu siedzi, jak na jakim młynie.

— A najgorsze te okienka w środku, mówiła borowa, nie wiedzieć na jaką pamiątkę te otwory powyrzynane, któremi tylko deszcz w szyby zacina i wicher gwiżdże, jak zbójcy w boru.

— Doprawdy, że zbójcy mogliby niemi jeszcze kiedy przepatrzeć wszy-

stkie kąty w izbie, odezwał się starszy chłopczyk, który na ziemi przy kupce mchu siedząc, bojaźliwie ku oknu spojrzał. W tem za ścianą pies zaszczekał i potargnął łańcuchem w budzie. Dzieci się potrwożyły i wszyscy nadsłuchując milczeli — ktoś zapukał we drzwi sienne, a borowy wziąwszy z kącika kostur do ręki, wyszedł zobaczyć ktoby to był.

— Kto tam? kto tam? zawołał, potem zaporkę uchylił, a z szumem wiatru i deszczu było słychać jakiś głos nieznajomy. Po małej chwilce wszedł borowy do izby, a za nim obcy człowiek, zmokły, z podniesionym kołnierzem i z zawiązanym na plecach tłumoczkiem.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! odezwał się podróżny na progu.

— Na wieki wieków, Amen! — odpowiedzieli domowi. Gość w dom, Bóg w dom, czem chata bogata, tem będziemy radzi. Ale zkądże to Pan Bóg prowadzi was do nas w taką ciemną noc i niepogodę?

— Z dalekich stron, miła gosposiu. Jestem ja sobie kramarzem wędrownym, noszę obrazki i różne świętości, a chciałem dziś jeszcze dostać się do miasteczka za borem, kiedy mię właśnie noc zaszła i deszcz się rozpadał, że wcale nie było można rozeznać drogi między drzewami. Nie wiele było potrzeba, a byłbym już musiał dnia czekać gdzie pod mokrym krzakiem. Na szczęście zobaczyłem w boru małe światełko. Szedłem do tego światełka i otóż widzę nareszcie tuż przed sobą, że to światełko jest wyraźne, jakoby serce płonące, które się w ciemności unosi i niewiedzieć gdzie mnie zaprowadzi. Wtem pies zaszczekał i poznałem dopiero, że w istocie musi tu być jakie pomieszkanie ludzkie, i że owo światełko błyszczy z izby przez okiennicę, w której wyrznięty jest otwór na podobieństwo serca.

— Mój Boże, przerwał zdziwiony borowy, jak to czasem każda rzecz się przyda, a człowiek nie przewidzi na co — i sadzając podróżnego przy sobie do zastawionej wieczerzy, rzekł: Przed małą chwilką, nimeśmy usłyszeli wasze stukanie, narzekaliśmy, że nam wiatr świszczy temi wyrznięciami, a to starzy pewno nie napróżno je w okiennicach dawali, znać dlatego, żeby podczas długich wieczorów na dworze było widać światło z izby, któreby podróżnym w potrzebie pokazywało, gdzie mogą wstąpić na nocleg.

— W samej rzeczy, dodał podróżny, bo i pocóżby właśnie najczęściej serca na okiennicach byli wyrzynali, tylko iż mieli przysłowie, że „staropolska to cnota, nie zamykać przed nikim wrota.“ Dlatego też nawet wieczorem, kiedy okiennice pozamykali, zostawiali w nich otwarte serca, aby było widać, że tam na każdego gościa z otwartem sercem czekają. Pamiętam, mówił dalej podróżny, po niektórych jeszcze starych naszych klasztorach i dworach, gdy podłoga w sieniach przed progiem była do szczętu wydeptaną, to widywałem nieraz w takie miejsca wprawiony kawał deski na podobieństwo serca, co pewnie nic innego nie znaczyło, tylko zaszczyt starej gościnności. Choć już tylu gości próg przestępowało, że nawet podłogę wydeptało, to staropolska gościnność na nowo słała się sercem pod stopy wstępujących. Tak ci to pewnie niejedne znaki starych obyczajów nogami depcemy, które gdybyśmy jak należy zrozumieli, byłoby nam lepiej na świecie! — dokończył kramarz z westchnieniem.

Borowy tymczasem wniósł do izby snop słomy i rozpostarł na ziemi dla gościa. Niedługo udali się wszyscy na spoczynek i zasnęli mile.

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.